

(Nie)bezpieczeństwo¹

Leszek Sosnowski



Jak to się dzieje - zastanawia się wielu z nas - że tacy ludzie potrafią sięgać po władzę w wolnych krajach; bezwzględni, niemoralni, opętani, kierujący całe narody ku kryzysom, nawet ku wojnom. A potem i tak bardzo rzadko za cokolwiek odpowiadają. Otóż zdobywanie rządów umożliwia im z jednej strony niedoskonałość demokracji, z drugiej bezbożność. Bezbożność wywołuje bowiem zadufanie, że człowiek może wszystko, w tym dowolnie zmieniać definicje dobra i zła. Skoro bowiem masz już władzę, to ty decydujesz, co jest dobre, a co złe. A jak komu się to nie podoba, nasyła się na niego jakiegoś Żurka.

Zadufanie bezbożników osiągnęło takie stadium, że wymyślili sobie, iż pokierują kosmosem. Bo chęć kierowania klimatem to nic innego, jak usiłowanie zawładnięcia siłami gwiazd - Słońca, od którego Ziemia jest bezwzględnie zależna - oraz najpotężniejszymi siłami Ziemi, jak wspomniany wcześniej Golfstrom. Szaleńców nigdy nie brakowało, ale dawniej takich izolowano, zamykane w domach dla obłąkanych. Czasem w dziejach ludzkości osoby o uszkodzonych umysłach sięgały po władzę, ale nigdy masowo, jak ma to miejsce dziś. Takich zresztą szybko usuwano, czego teraz wobec szaleńca czynić nie wolno, bo został demokratycznie wybrany.

Bezbożnikom chodzi o zmiany w społecznej mentalności, w naszym widzeniu i (nie)rozumieniu świata - byśmy w pełni dostosowali się do obłąkańczych teorii wcielanych przez nich w życie z psychopatyczną systematycznością. Powstał jakiś diabelski krąg tworzący ścisłe powiązania między obłąkanymi teoriami w różnych dziedzinach. Szaleństwa te wzajemnie się wspierają, bowiem w pojedynkę byłyby łatwe do obnażenia i obalenia. Gender, ekoideologia, neomarksizm, postmodernizm, filologia (w większości), filozofia (w olbrzymiej większości), historia (po części), ekonomia, etyka i prawo sankcjonujące eutanazję i aborcję, transhumanizm etc. - wszystko to ma jeden wspólny mianownik: ateizm. To jest spoiwo całego lewactwa w przeróżnych dziedzinach życia, nie tylko w polityce. Nie znaczy to, że ludzie ci nie mają świętości; mają, a największa z nich to zysk.

1 Źródło: Miesięcznik „[Wpis](#)” nr 1 (183), 23 stycznia-26 lutego 2026, str. 8-10

Hamowanie ateisty w jego gorącym uwielbieniu dla zysku oznacza narażanie się systemom prawnym i podlega represjom.

Nie byłoby różnym wariatom tak łatwo stawać na szczytach społecznych, gdyby nie znajdowali oni poklasku w mediach. Początkowo pokazywano ich jako dziwolągi, by wzbudzać ciekawość albo i śmiech u odbiorców. Z czasem jednak osobnicy ci zyskiwali dużą popularność i tym samym stawali się idealnymi kandydatami w demokratycznych wyborach, gdzie rozpoznawalność jest kluczowa. To zaś cementowało układy świata mediów ze światem polityki- tak jest do dziś i nie zanosi się na zmianę. Media są politykom niezbędne, bowiem w warunkach demokratycznych nie mogą oni bez publikatorów zaistnieć. Kto nie ma ich w odpowiedniej sile, nie powinien w ogóle startować w konkurencji po władzę.

Żądza posiadania władzy pokonuje nawet zdrowy rozsądek, nie mówiąc o moralności; każdy środek prowadzący do jej zdobycia jest dobry, o ile jest skuteczny. (...)

W układzie pozorowanej demokracji olbrzymia staje się rola decydentów. Zawsze jest istotna, ale przy marginalizacji większości siła władzy skupia się w pojedynczych rękach w sposób automatyczny. Tymczasem my tak naprawdę nie wiemy, kogo wybieramy, w jakie ręce przekazujemy władzę; jesteśmy jako wyborcy na różne sposoby oszukiwani, mamieni, wyprowadzani w pole. Kluczowe nie jest, wbrew pozorom, nasze wrzucenie kartki do urny wyborczej. Kluczowe jest określenie, kto będzie kandydatem, a to jest proces nie tylko poza naszą kontrolą, ale nawet poza choćby skromniutką naszą wiedzą o doborze kandydatów. Nie mamy nieraz w ogóle świadomości, że wybieramy między dżumą a cholewą. Coś tam niejasnego wiemy z mediów o poszczególnych partiach, przy czym publikatory manipulują informacjami, ile wlezie. W Sejmie zasiada 460 posłów, plus 100 senatorów – kogo z tych ludzi, drodzy Czytelnicy, znacie bliżej? Choćby jeden procent? Raczej nikogo. Czy to faktycznie jest demokracja, skoro zmuszeni jesteśmy *de facto* do wyborów w ciemno?

Mimo że kluczowe jest zdefiniowanie, kto będzie kandydatem, nadal nie ma wypracowanego schematu jego określania, badania, prezentacji. To, co się w tym zakresie robi, to nic innego jak pozorowanie prezentacji, jakaś totalna powierzchowność. Nie ma nawet ankiety podobnej do tej w zwykłych zakładach pracy w czasie rekrutacji kandydatów na lepsze stanowiska. W praktyce byle przybłęda może zostać wybrany, w tym pospolity świr. Rozejrzyjcie się po parlamencie; mało tam takich? Co w tym dobrego lub demokratycznego - to oszukiwanie demokracji i samego siebie.

Fabryki, finanse, koniunkturę na rynkach, sprzyjające okoliczności międzynarodowe - wszystko może zmarnować kiepski lub sprzedajny obcym rządów decydent. A inny może z byle czego zrobić sukces, zwycięstwo - demokracja jednak nie gwarantuje wyboru takiego decydenta. Wybory powszechne przebiegają na los szczęścia.

Czy wybieramy kandydatów według mądrości? Albo wedle ich charakterów, co jest bardzo ważnym kryterium? Dawniej można było kandydatów wartościować moralnie, ale w dobie neobolszewizmu jest to zakazane, jako ograniczenie jednostki, jej wolności. A ta

jednostka robi potem z nami wszystkimi, co tylko przyjdzie jej do chorej głowy. Programy wyborcze zostały zaś sprowadzone do zasady: temu damy to, tamtemu tamto, a tych i tych postraszymy.

Ptasie mózdzki, parszywe charaktery, nawet patologiczni kłamcy trafiają na najwyższe stanowiska w państwie. Potem jeden świr ciągnie do góry drugiego. Demokracja przed tym nie broni. Dlaczego? Właśnie dlatego (choć nie tylko), że w ogóle nie znamy kandydatów i nie mamy wpływu na ich dobór. To ostatnie dokonuje się w gabinetach paru bossów partyjnych, gdzie mają wgląd tylko bardzo nieliczni wtajemniczeni. Czy jest na to jakieś lekarstwo? Na pewno by się znalazło, gdyby tylko ktoś chciał go szukać...

Zastanówmy się np. po co nam tylu posłów i senatorów na przyczepkę? Co my mamy z tych 560 osobników? Przecież wystarczyłoby po kilku przedstawicieli z każdej partii i wyniki głosowań w parlamencie byłyby takie same, te same zapadałyby uchwały. Zwłaszcza, że usankcjonowane zostało coś takiego jak dyscyplina partyjna, czyli przymuszenie do mówienia jednym głosem nawet dwustu i więcej parlamentarzystów.

Gdyby parlament składał się np. z 16 osób, po jednej na województwo, to moglibyśmy poznać kandydatów na te 16 miejsc bardzo dokładnie, mogliby oni zostać prześwietleni na wylot, moglibyśmy dokonywać naprawdę świadomych wyborów. Ryzyko przekazania władzy obłąkańcom albo targowiczantom zmalałoby totalnie. Taka szesnastka niechby zarabiała dużo, ale musiałby spełniać kryteria sprawdzonej uczciwości, erudycyjnej wiedzy, honoru, moralności, sukcesów w zarządzaniu i powinna zostać obarczona niewspółmiernie większą odpowiedzialnością niż sprawujący rządy obecnie, na różnych zresztą szczeblach władzy.

(...) podsuwam pomysł, bowiem zarzucanie nas setkami i tysiącami kandydatów powoduje, że *de facto* nie mamy pojęcia, kogo wybieramy. Jest zaś uzasadniona nadzieja, że merytoryczna wartość 16 dobrze wybranych byłaby o niebo większa niż 560. Generalnie trzeba wybierać małe gremia, ponieważ tylko takie można poznać i rozpoznać.

